Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część I.

Krzyż w śniegu
1902. Olej na płótnie. 104 x 128 cm.
Własność prywatna.

Romuald Mieczkowski

Widziałem w dzieciństwie takie zdjęcie: opatulona w łachmany para starszych ludzi stoi gdzieś w lesie. Rodzice mówili, że zdjęcie przysłała rodzina z Syberii. Dalsza. Prababka kobiety,

będącej na fotografii, była siostrą mojej prababki.

Na stole – dziesiątki zdjęć z Syberii. Przeglądamy je z Tadeuszem u jego w domu – w Olsztynie. To cud, iż z nieludzkiej ziemi zachowały się one. W jaki sposób, to oddzielna historia, o której później. Wykonał je Adolf Dargiewicz. Zaczyna płynąć rozmowa, a wraz z nią – obraz tragedii, jak też szczęścia, bardzo wymiernego – że się po prostu zostało żywym. A tak przecież trudno było żyć w tamtych czasach rodzicom deportowanych, bo młodzi, jak to młodzi. Dla nich inaczej mierzył się czas, nawet w tych poniżających godność ludzką warunkach.

Na Wileńszczyźnie

Z Tadeuszem wyjaśniamy stopień naszego pokrewieństwa. Jego ojciec miał na imię Franciszek, matka – Wiktoria. Przed wojną gospodarowali na 4 hektarach w Porubanku pod Wilnem. Kiedy rozbudowywano lotnisko, władze polskie wykupiły ziemię, płacąc zupełnie nieźle. Tyle, że za otrzymane pieniądze Dargiewiczowie kupili… 44 hektary w Baraszkach, niedaleko Rudamina. Prawda, najwięcej było lasu, w tym ziemi ornej niewiele, ale opłacało się – rodzina liczyła ośmioro dzieci. W domu nigdy nie przelewało się, ale i głodu nie było. Wszyscy dużo pracowali. Zaplanowali sobie wykarczować część lasu. Prace utrudniał na obrzeżach obfity w kamienie grunt. Był to wielki wysiłek. Praca odbywała się bez jakiejś techniki – jako narzędzie służyła specjalna żelazna brona,

ciągnięta przez konia – reszty miały dopełnić własne ręce, przede wszystkim starszego rodzeństwa, braci Tadeusza – Bronisława, Mieczysława, Wilhelma, Adolfa, Franciszka- juniora.

Wykarczowano osiem hektarów. Drzewa na opał było bez ograniczeń, a i pięknego budulca też. Wzniesiono przestronny dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi, wykopano studnię i staw, w którym miały być ryby – karasie i karpie – na święta, do posmakowania. Wielkim wzięciem cieszyła się łaźnia. Ze wszystkich stron, żeby w niej „poparzyć się", ściągali sąsiedzi, przyjeżdżali z Wilna znajomi.

Pracowali ciężko, ale po pracy ileż było radości! Miejscowość piękna, słowiki śpiewały, a i do Wilna – ręką podać. I perspektywa zrobienia wzorowego gospodarstwa, i radość z tak licznej rodziny, prawdziwego klanu na własnej ziemi.

Idylla trwała niedługo – do wybuchu wojny. Bronisław i Adolf zostali ranni w 1939. Wojna, jak to wojna, trudne były czasy. Mieszkali na uboczu, więc byli pod szczególną obserwacją. Jednego razu, kiedy przybyli dwaj policjanci litewscy i ubliżali rodzicom, bracia mający doświadczenia wojenne ich… rozbroili. Policjanci zaczęli przeżywać i płakać, że Niemcy ich rozstrzelają, zaklinali na litość i własne rodziny – żeby tylko oddać broń, a już więcej nie będą nachodzić w taki sposób. Kiedy broń im oddano, policjant o nazwisku Mordas strzelił i Bronisława położył na

miejscu, drugiemu bratu, który przyczynił się do rozbrojenia, udało się zbiec do lasu…

Nie mniejsza gehenna była w czasach sowieckich. Dargiewiczowie dla nowej władzy byli klasycznymi wrogami, których nie można było nie rozkułaczyć. Ale nie od razu. Stopniowo zabierano wszystko, a co zostawiano, okładano niemiłosiernymi, ponad możliwości ludzkie podatkami. Potem zapadła decyzja wywózki, wszystkich razem. Robili więc wszystko, żeby nie przebywać wspólnie. Mężczyźni ukrywali się, nocowali w stodołach i różnych kryjówkach.

Kiedy zabrano do nowo utworzonego miejscowego kołchozu „Aurora" ostatnią krowę, zaś ta wróciła po paru dniach, to jeden z braci – Mieczysław – nie potrafił ją znowu oddać, wtedy „dla postrachu" strzelał w jego stronę niejaki Kaczanowski, z politruków, który prawdopodobnie w okresie późniejszym wyjechał do Polski. Mieczysław dostał tak wielkiego szoku, z którego nie uwolnił się już do końca życia. Spędził je w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce, samotnie zmarł. A już miał odbyć się jego ślub z młodą dziewczyną po sąsiedzku, wyszły nawet zapowiedzi w kościele rudomińskim…

Ferdynand Ruszczyc Most zimą.

Mieli też trudności enkawudziści z Adolfem. Zimą nocował w stodole, był przykrywany deskami w stogu siana, dokąd Tadeusz, jako najmłodszy, nosił jedzenie. Pracował w polu, przebrany… za kobietę; akurat kopał ziemniaki, kiedy dwóch mężczyzn na koniach zwróciło się do niego z pytaniem, gdzie może być Adolf. Wskazał byle jaki kierunek. Żeby mieć zmieniony głos, trzymał w buzi chyba mały ziemniak. Odjeżdżając jeden z enkawudzistów splunął, mówiąc, że w życiu nie widział tak niekrasiwoj żenszczziny[1]. Kiedy się połapali, Adolf ukrył się.

– Jeden raz w życiu musiałem wyrzec się ojca – opowiada mój rozmówca. – Przyjechali z zamiarem nas wszystkich zgarnąć. Ktoś widocznie doniósł, że ma wrócić z miasta, dokąd pojechał do młyna. Jako podrostka wsadzono mnie do samochodu, by wskazać ojca. Serce mi mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, jak na Lipówce furmanką jedzie ojciec, ale udałem, że nie znam tego człowieka…

Tak nie mogło długo trwać. Na początku lat pięćdziesiątych wywożono w sposób planowy – całymi rodzinami, o które przecież tak troszczyła się władza sowiecka, a jeszcze bardziej o to, żeby nie było buntów, żeby rusyfikować „ wrogów" nowego ustroju *pogołowno*[2] i „wychowywać" ich przez pracę.

Kiedy 2 września 1951 roku sowieci dość mieli zabawy w kotka i myszkę i przyjechali po Dargiewiczów, głowa rodziny schował się pod łóżko. Na Syberię dowieźli go później, po wielu perypetiach „złączono" go z rodziną.

Na spakowanie dano pół godziny. Pośpiesznie zakłuto parsiuczka[3], z sobą zabrali cztery worki kartofli. Z takim bagażem trafili na stację kolejową w Landwarowie. Stąd zaczynała się droga, która na zawsze oddaliła Dargiewiczów od ziem ojczystych. Wywózki uniknęła Anastazja, tuż przed nią wyszła za mąż, nie zabrano Mieczysława, jako nieobliczalnego w swej chorobie, a taki nie był potrzebny ani na Syberii, ani groźny

tu na miejscu.

Trudno dziś powracać do tamtych dni. Tadeusz Dargiewicz milczy przez pewien czas. Potem kontynuuje opowieść. O zgiełku i rozpaczy na stacji Landwarowo, gdzie do bydlęcych wagonów ładowano ludzi wraz z pośpiesznie zabranym dobytkiem, który był w zasięgu ręki. Zapamiętała się mu taka scena: młoda kobieta wsadza dziecko do worka i przerzuca go przez kolczaste druty…

– I oto jesteśmy w drodze – opowiada. – Z zakratowanego okna wagonu z niepokojem obserwujemy teren. Po dwóch dobach jazdy zobaczyłem owies utkwiony do połowy w śniegu, a nad nim chmary wróbli, które wydziobywały małe ziarenka. Ściśnięci byliśmy w tym wagonie. Miał on numer 47, zaś wszystkiego wagonów było 56. Ciągnęły je dwie lokomotywy. Kiedy zagłębialiśmy się dalej na Wschód, robiło się chłodno. Dano więc nam piecyk, potocznie zwany burżujką. Najgorszy był moment załatwiania własnych potrzeb. Przez dziurę w podłodze wagonu. Parawan z koca służył za osłonę. Potem zaczęto nas wyprowadzać na peronach, w eskorcie żołnierzy. Ludzie byli wykończeni. Choć na stacjach panował chaos, mało kto myślał o ucieczce. W większości jechano rodzinami, więc trzymano się razem. Na stacjach dawano kipiatok – wrzątek. Musiał go przynieść ktoś z wagonu. W naszym wagonie zajmowała się tym kobieta, która dziecko zostawiła za drutem. Jednego razu nie

wróciła. Ciekawe – zastanawia się Tadeusz, – jakie były jej losy, co stało się z dzieckiem, czy się spotkali?

Podróż trwała trzy tygodnie, aż wszystkich pod koniec września 1951 roku wysadzono w Tomsku. Nie był to kres przymusowej wędrówki. Nad stromym brzegiem Obi utworzono ogromny obóz spiecpieresielenców[4], którzy mieli „trochę szczęścia", bo był to łagodniejszy wymiar kary – ludzi tych mogła jeszcze „wychować" mordercza praca, wyrzeczenie się swej narodowości i deklaracja, że „dobrowolnie" chcą tu pozostać.

W miarę przybliżania się do tego miasta, zasieków z kolczastego drutu przybywało. Jak sięgnąć wzrokiem, rozpościerały się łagry. Było tu już chłodno, ludzie brali drzewo z brzegu rzeki i mimo zakazów, palili ogniska. Czekano na dalszy etap zesłania – w głąb tajgi, już drogą wodną.

– Strasznie wyglądało to czekanie. Nękały nas najgorsze przeczucia, tyle przecież wiedzieliśmy o okrucieństwach Sowietów – wspomina mój krewny. – Siarczyste przekleństwa po rusku. Czekała nas jeszcze jedna podróż, która trwała tydzień, z przesiadką z barży[5] na mały statek, który od Obi popłynął w górę rzeki Czaji. Barża ciągnięta była przez statek. Ludzie, schorowani i zdeterminowani, zajęli miejsce w jej dole, w wielkim brudzie i ciasnocie, jak śledzie w beczce. Matka przez cały czas płakała, w pewnym momencie nie wytrzymała i

zwróciła się do żołnierza z wycelowanym do ludzi karabinem ze słowami, żeby zastrzelił ją. Żołnierz na to uśmiechnął się i powiedział: „Mat', u nas pulia stoit czetyre kapiejki, a ty i tak zdzieś padochniesz, darom."[6]

Tadeusz znowu robi przerwę. Głos mu drży. A potem, żeby odejść od smutnych wspomnień, opowiada długo, ze szczegółami o statku. Jako małego chłopca interesowała go technika, więc zapamiętał, że statek, którym płynęli Czają, był napędzany drewnem, a była to machina, jakie czasem widzimy na starych filmach – ze śrubą przez środek statku, z urządzeniami w kształcie koła z łopatkami z desek, jakie spotykało się w wodnych młynach. Takie koła były po obu stronach burty. A wokół las. Taki sam. W nieskończoność.

Kiedy dotarli na miejsce, trzeba było przejść kładką, zawieszoną wysoko nad wodami rzeki. Tadeusz pośliznął się i dosłownie w ostatniej chwili za kark go złapał żołnierz. W dole została brunatna toń zimnej wody, która czasami śni się mu w snach syberyjskich. Ale podróż nadal trwała. Dalej była rzeka Niursa. Nad jej brzegami mieli wydatnie przyczynić się do przerzedzenia tajgi w miejscowym LZP – Niurskim Lesozagotowitielnym punktie[7]. Tu poznali nową władzę – kierownikiem uczastka[8] był niejaki Błochin, komentantem od NKWD – Korowin, jego zastępcą – Kobielow. Co do imion Tadeusz dziś nie ma pewności, natomiast tych nazwisk pamięć w żaden sposób nie potrafiła ich

wymazać.

– Miejscowi ludzie zapytali żołnierzy, kogo przywieźli – ciągnie opowieść, – a żołnierze na to: „Eto biełyje bandity.” Mój Boże, to my byliśmy bandytami!

Pierwszym ich miejscem posielenija[9] była „Wośmaja – Ósma, następnie – Zawodskaja, potem – Lesnaja. Wszędzie to samo, bez prądu, z dala od świata i większych osiedli. I wszędzie tacy sami towarzysze niedoli – Polacy, Ukraińcy, Litwini, Niemcy…

W każdym miejscu, nawet tym najgorszym, po wypłakaniu wielu łez, apatii i bezsilności, przychodzi czas pogodzenia się z losem, czas układania sobie życia w nowych warunkach. Na początku spiecpieresielencom dano baraki, przedzielone sienią na dwie części – męską i żeńską. W każdym rogu było po pięciu. Spano na żelaznych łóżkach. Baraki przypominały więzienie, co sprawiało, że nastrój był przygnębiający. Dla zapomnienia się Adolf Dargiewicz namawiał kolegów do śpiewania patriotycznych piosenek polskich, na co krzywo patrzyli nadziratieli[10], ale nie mogli nic powiedzieć, bo nie rozumieli, o czym jest mowa w tych piosenkach. Powoli strach ustępował, bo i dokąd to jeszcze można było zesłać? Co jeszcze człowiekowi odebrać prócz życia?

Na początku to najgorzej było z podpisaniem bumagi[11], że się chce w tym miejscu pozostać „dobrowolnie” – na całe życie. Nikt

nie chciał tego czynić. Co tylko nie robiono z opornymi! Wsadzano ich do ziemlanki, nie tyle piwnicy, co naprędce kopanego dołu.

– Pamiętam, jak w takim dole siedział mężczyzna w mundurze żołnierza. Wojska Polskiego. Tak ubranego właśnie przywieźli go tutaj – opowiada Tadeusz Dargiewicz. – Nazwisko miał Antonowicz. I musiał biedny podpisać na siebie wyrok. Potem jakby nieco ulżyło, bo zaczęły krążyć plotki, że jakieś zmiany będą. I podpisy, które złożyli ludzie, nie będą cyrografem ostatecznym.

Krajobraz
1902. Olej na płótnie naklejonym na tekturę. 46 x 45 cm.
Lwowska Galeria Sztuki.

Swój dom w tajdze

Życie w barakach miało swoje prawidła. Rodziny były podzielone,

więc Dargiewiczowie postanowili zbudować sobie dach nad głową. Taka możliwość istniała. Zazwyczaj domy budowano tu bez jedynego gwoździa, miały one dwa małe okienka, w środku – gliniasty piec i prycze. Posłanie było z wiór, dla odmiany bywał mech. Jeszcze jeden piec w okresie letnim rozpalano przed domem. Nie było studni. Miejscowi Rosjanie mówili, że jej wykopanie jest rzeczą niemożliwą. Wodę więc zimą brano ze śniegu, latem, gdzie się tylko dało, najczęściej spod karczy. Była to brunatna ciecz o specyficznym zapachu i smaku.

W takich domach było niezwykle ciasno, ludzie nie mieli dosłownie nic, panowała niewypowiedziana nędza, wręcz prymitywne bytowanie. Ale nie można było odebrać tej małej namiastki wolności, dzięki której mogli mówić w swych ojczystych językach, do woli modlić się i wypłakać, z dala od cudzych oczu.

Jako-tako układali sobie życie. Najlepiej sobie radzili Niemcy. Ich domki wyglądały schludnie, wzniesione były z dużą pomysłowością. W ogóle to dziwne – zastanawiał się nieraz w trakcie swej opowieści Tadeusz, że człowiek w warunkach tak ogromnego przygnębienia zachowuje tak wielką chęć życia, dąży do zapuszczenia korzeni – na obcej ziemi, z uporczywą myślą, że na krótko.

Po pół roku dowieziono ojca, choć żadna to pociecha, że nie

udało się mu ukryć. I wtedy przystąpiono do budowy domku. Ojciec ociosywał bierwiona, które przekładano mchem. Z wybudowaniem tego gniazda na obczyźnie poczuli się raźniej. Choć było ciasno, to ciepło w czasie trzaskającej mrozami zimy. Najgorzej było wiosną – w szparach siedziały jakieś syberyjskie świerszczyki, które wydawały bardzo głośne i nieprzyjemne dźwięki, wyłaziło też różne robactwo i wszechobecne w tych stronach karaluchy.

Sąsiedzi

– Spośród naszych syberyjskich sąsiadów – wspomina mój krewny – było dużo ludzi spod Lwowa, Stanisławowa, Halicza. Niemal wszyscy znali polski. Niektórzy mówili po ukraińsku, ja też nauczyłem się tego języka. Za wyjątkiem Niemców, byli też inni obok nas ludzie – jak to się potocznie mówi z Kresów. Od nich też wziął swój początek miejscowy cmentarzyk.

Żyło się bardzo zgodnie ze sobą. To Tadeusz podkreśla kilkakrotnie. Prócz ludzi wspomnianych narodowości byli też Rosjanie. Mieli oni jednakże inny status, który pozwalał im zajmować kierownicze stanowiska. Byli to też zesłańcy, nawet ci z ramienia NKWD musieli gdzieś „przeskrobać się". Miejscowych od razu można było odróżnić. Byli wyrozumiali, podobnie, jak potomkowie wcześniejszych zesłańców. Jeden z nich to nawet żegnał się, interesowała go wiara w Boga. Należał do grona tych,

których przodkowie może trafili tu jeszcze za cara.

Patrząc na *specpieresieleńców,* Rosjanie kiwali milcząc głowami. Znacznie wcześniej od obecnych zesłańców, ich rodzice przekonali się na własnej skórze, co to znaczy być kułakiem. A przecież wielu z nich posiadało gospodarstwa, stadniny koni, zakłady i sklepy. O tym głośno nigdy się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Swą gorycz topili w wódce. Jeden z potomków jakiegoś znanego rosyjskiego rodu przedsiębiorców Tadeuszowi powiedział tak:

– Cała nagroda za pracę, to butelka wódki. Jak nic nie można mieć przy tej władzy, to co robić? Z pijanego, to i *spros*[13] mały i nie narazisz się proletariatowi…

Różni byli ludzie spośród miejscowych. Serdeczni i uczciwi, prawdomówni i bardzo skryci. Wśród nich byli i donosiciele.

– Kiedy poszedłem do brata, który pracował w innym *posiołku*[14], osiem kilometrów od nas, by go odwiedzić i porozmawialiśmy sobie po polsku, ktoś doniósł, że poszedłem buntować – wzdycha Tadeusz, – no, i musiałem oberwać.

Zresztą co się dziwić ludziom? Byli kompletnie zdezorientowani, ciągle wmawiano im, że mają do czynienia z „wrogami ludu”. Informacja docierała tu skąpa i odpowiednio spreparowana. Żeby

ludzie zbytnio nie główkowali, dano im pracę nieludzko ciężką i za marny grosz. Byle tylko utrzymać się przy życiu. Pod warunkiem, że zdrowie nie nawali.

Ferdynand Ruszczyc, Stare jabłonie.

Wychować miała praca

I o tym ciągle przypominano *specpieresielencom.* Ojciec mojego rozmówcy, Franciszek Dargiewicz, tak się szczęśliwie ułożyło, nie pracował ciężko fizycznie. Był zajęty przy koniach, robił uprząż, co w tamtych stronach mało kto potrafił. Była to rzadka tu umiejętność.

Do podstawowego zajęcia natomiast należał wyrąb lasu. Były

wyznaczone „normy” – i chcesz czy nie, miałeś je wykonać. Trzeba powiedzieć – podkreśla w rozmowie Tadeusz – pracowano szczerze i uczciwie, nawet zbyt uczciwie – po chwili poprawia. Taki sąsiad Dargiewiczów w niedoli Krasowski, to z przepracowania na zawsze pozostał w tajdze, znajdując tam miejsce wiecznego spoczynku.

Krasowscy pochodzili również z Wileńszczyzny. Ich dziadek był w Krasnojarsku. Pisali podania, bo chcieli być razem. I przyjechał – bardzo sympatyczny, wykształcony starszy pan. Przez cały czas kogoś dowozili w ramach „ łączenia” rodzin.

Piłowane drzewo ładowano do tzw. motowozów. Taka lokomotywa była napędzana *czurką,* czyli brzozowymi klocami, które służyły jako paliwo. Oczywiście, większe i potężniejsze motowozy napędzane były ropą. Dowożono też nimi ludzi do pracy. Zimą w środku wagonu instalowano burżujkę.

A praca rzeczywiście była dla wytrwałych. Zmuszano harować na mrozie, nawet przy temperaturze niższej minus 43^0, choć był jakiś regulamin zabraniający pracy w takich warunkach.

– Jednego razu – opowiada Tadeusz – kierownik lesozagotowitielnogo punkta Trikoz zobaczył, że w czasie siarczystego mrozu ludzie obiad jedzą w baraku. Ze złością przewrócił stół, wylewając kipiatok. Żadne perswazje nie

pomogły, poszli pracować. Nic dziwnego, że niektórzy nie wytrzymywali, albo zostali do końca życia kalekami. Dobrze i to, że drzewa nie żałowano – niekiedy przy ogrzewaniu zziębniętych rąk, zapalały się kufajki. A ubranie trzeba było bardzo szanować – na rok przydzielano jedną parę kierzowych butów, kto znosił je szybciej – miał biedę, inne ubrania przydzielano jeszcze rzadziej.

Piły były motorowe. Istniały już stacje elektryczne, uruchamiano dzięki temu pracujące na ropie generatory. Prawda, jak był większy mróz salarka, czyli ropa stawała się gęsta, ale jakoś to pracowało. Każdy z drwali miał 200-300 metrów kabla, żeby się podłączyć. Pracować od takiego zasilania mogło naraz pięć-sześć pił. Przy wyrębie zatrudniano również kobiety. Dla nich była praca „łatwiejsza” – siekierkami oczyszczały drewno z gałęzi. Ciężko pociły się konie przy wakałuszach – krótkich saniach do wożenia kloców drewna. Wykorzystywano i traktory, ale w tym kraju wszystkiego brakowało, a mechanizmy ciągle się psuły.

Były, rzecz jasna, i własne piły. Z bardzo cienkim ostrzem, łękowate. Zakładali się lesoruby[15], że najgrubsze drzewo taką z pozoru małą piłą zetną w ciągu pięciu minut. I ścinali. Życie ich nauczyło wielkiego mistrzostwa. Piła była ważnym narzędziem w tajdze – był nawet specjalista, który je szykował i naprawiał. Nazywał się piłopraw.

Ścinane kloce zwożono z tajgi nad brzeg rzeki. Tu układano je

sztabielami[16]. Od wiosny drzewo spławiano w dół do Obi. W tym czasie troczę więcej można było i grosza zarobić – chodziło o to, żeby jak najszybciej kloce zepchnać do rzeki, bo jeśli drzewo można ścinać przez cały rok, to czas spławu ograniczony był klimatem. Przy pracy w lesie dochodziło często do nieszczęśliwych wypadków, ludzie ginęli, bądź tracili zdrowie i nikt za to nie odpowiadał.

Istniały inne zajęcia. Robiono drewniane części do broni. Inne zawody należały do „elitarnych" i rzadko kto je ze specpieresieleńców wykonywał. Niektórzy, prawda, pracowali przy bydle, szykowali siano na zimę.

Z tym szykowaniem siana to bardzo rzecz dziwna była. Otóż miało się wrażenie, że stogi są bardzo duże, a w zasadzie siana było tam niewiele. Z różnych powodów. Przede wszystkim należało zrobić podłoże, bo grunt był podmokły – ponadto wypadało dużo śniegu, więc tak łatwiej można było je wydostać. Stogi układano więc wysoko – na gałęziach, karczach. Po drugie – wykonując „normy", starano się ze wszech miar wykiwać naczalstwo.

Obok picia wódki takie oszukaństwo, jak też przekupstwo czyli błat, należało do czynności, których w tych warunkach musieliśmy obowiązkowo się nauczyć. Ma się rozumieć, gdyby wszystkie zalecenia, instrukcje i rozkazy przyjmować serio, ofiar

– zupełnie niepotrzebnych – byłoby znacznie więcej. Tu życie ludzkie rzeczywiście nic nie znaczyło – z wielkim trudem, niezwykłym poświęceniem przygotowane drewno, gniło gdzie indziej lub spisywano na straty. Nawet nikt nie nazywał tego niegospodarnością. Drzewa, jak i innych surowców, w tym kraju nie musiało nigdy zabraknąć.

Przy wyrębie lasu gramatności nie potrzeba było. Może trochę więcej można było ją spożytkować, kiedy trafiało się do ekspedycji. Ale najczęściej brano do niej głównie kobiety – żeby nie tracić męskiej siły roboczej. Ekspedycja polegała na tym, że wytyczano szlak, którym drzewo dostarczano nad brzeg rzeki, wytyczano też szlak dla kolei. Na czele takiej wyprawy stał ktoś z władz.

I tak mijały dni na nowej ziemi. Mijały kolejne rocznice zesłania, niezliczone kloce potężnych cedrów syberyjskich, ściętych rękami Polaków, płynęły w kierunku Obi, a stamtąd dalej, ku sławie „socjalistycznej ojczyzny”.

Zajęcia specpieresielenca Tadeusza

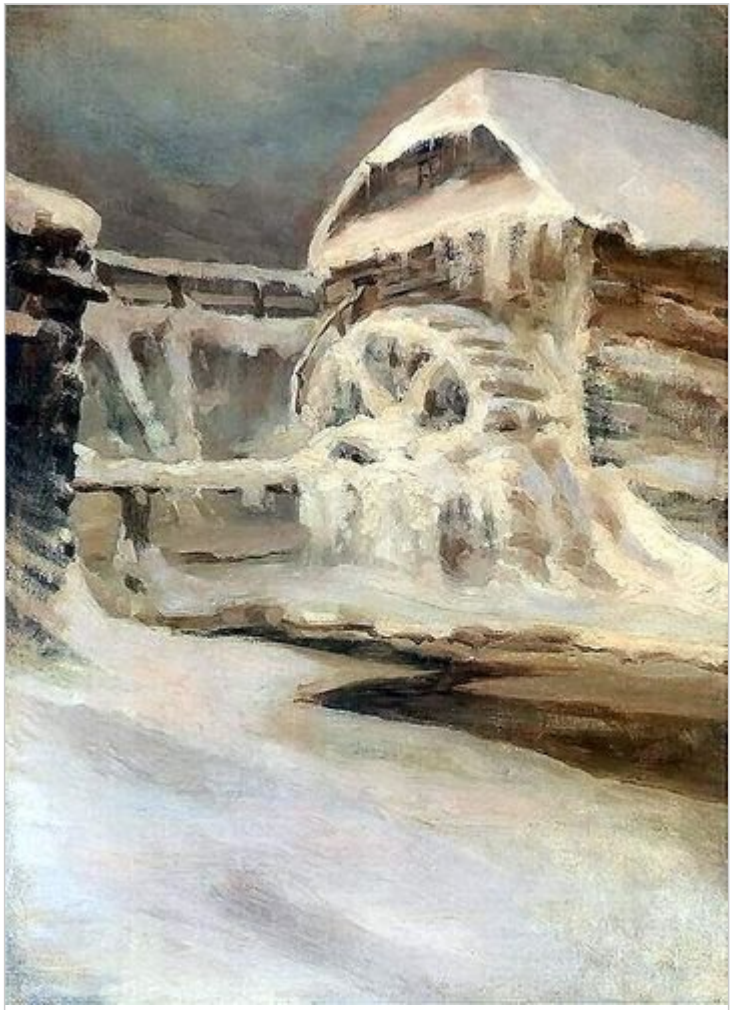

Ferdynand Ruszczyc Młyn zimą.

– Jestem najmłodszy z rodziny, w momencie przybycia na Syberię miałem 16 lat. Nie mogli mnie zatrudnić przy wyrębie lasu, bo wtedy byłem pacan[20] – mówi mój krewny – Pierwszym moim solidniejszym zajęciem, jeszcze na etapie, przed wyruszeniem w głąb tajgi, było odwszawianie. Zawód nazywał się weszoprud czasami weszoboj. Obsługiwałem dość skomplikowane ustrojstwo[21] – ludzie oddawali mi swoje ubranie. Ja umieszczałem je w takim metalowym pojemniku, zawieszałem na blaszanych

jego ścianach, zaś u dołu był rozpalony ogień. Pod wpływem temperatury wszy wyłaziły z ubrań. Trzeba było uważać, żeby łachmanów nie spalić. Miałem obserwować termometr – żeby nie dawać więcej żaru niż na 90 stopni. Ileż kilogramów tego świństwa wtedy mogłem zebrać?! – dziwi się Tadeusz.

Potem był płotnikiem, czyli stolarzem, ze specjalnością wyrobu trumien. Fachu tego nauczył go nadwołżański Niemiec, których liczne zsyłano w tych latach na nowe posielenija. Razem robili też ramy do okien, drzwi, inną stolarkę.

Przez pewien czas sprawował funkcję obchodczyka[22], coś w rodzaju torowego. Do obowiązków należało dopatrywanie torów, po których jeździły motowozy. W tych warunkach klimatycznych dość często trzeba było je naprawiać.

Kim się tylko nie pracowało! Pomagał kowalowi, który „wszystko potrafił naprawić", przyjaźnił się z jego młodszymi od siebie synami, mówiącymi pięknie po polsku. Mianowano go koniuszym, a konie były dzikie, gryzły, kopały… Szczególnie dobrą opiekę musiał mieć koń, którym jeździł towarzysz kierownik.

– Bałem się tych zwierząt – przyznaje się Tadeusz. – Jednego razu zmuszano mnie, żebym pojechał do miejscowości, odległej 50-60 kilometrów, samotnie nakarmić sianem byki. Kiedy poprosiłem, żaby ktoś pojechał ze starszych ze mną, komendant NKWD

Korowin tak wlepił mi w nos, że do dzisiaj pozostał skrzywiony. Byli różni ludzie, wielu serdecznych spośród mieszkańców, a w administracji, niestety, nie brakowało złych, wręcz podłych.

Chodził też pieszo 40-kilometrową trasą do osiedla Podgornoje, gdzie była poczta, żeby przynosić paczki. Ciężko było z nimi pokonać drogę, ale wśród innych były paczki od krewnych, a one pozwalały utrzymaś się przy życiu. Na trasie mieszkali Rosjanie, u których można było przenocować. Niektórzy podejmowali bardzo gościnnie, nawet częstowali samogonem, mówiąc łagodnie: „Priwykaj, malczik.”[23] W jednym z domów Rosjanka pokazywała mu zdjęcia Polaków, zesłanych dawno przed nimi.

Kiedyś przydzielono Tadeusza pomagać Ukraińcowi, który pracował na kolei. Ale nie zrozumieli się i rozebrał… nie ten barak przy torach, który trzeba było. Bardzo się przestraszył, ale Ukrainec, bardzo poczciwy człowiek, tylko machnął ręką.

Różne były zajęcia, tak też szybciej leciał czas.

Niestrudzony fotograf Adolf

Brat Tadeusza należał do ludzi bardziej oświeconych i wrażliwych. Miał wykształcenie średnie, interesował się historią, literaturą, a wiadomościami dzielił się z innymi. W tajdze pisał wiersze, które śpiewano jako piosenki.

Jest też Adolf autorem unikalnych zdjęć z Syberii. Jakimś cudem udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, który przemycił do posielenija. Ryzykował tym, bo wszystkie cenne rzeczy należało oddać do kamiery chranienija[24]. Ale jakoś potem ludzie przyzwyczaili się do jego aparatu – choć niektórzy bali się pozować do zdjęć.

Gdy ludzie nie chcieli pozować, Adolf mawiał: *Pamiętajcie, przyda się to.*

– No i przydało się – stwierdza jego brat Tadeusz, – komu do akt sądowych, komu do świadectw kombatańskich. Niektóre weszły do kroniki sybiraków, a wiele jaszcze nigdzie nie publikowano.

Tych zdjęć zachowało się kilkadziesiąt. Zebrane zostały po krewnych, którym niegdyć wysyłali. Nie tyle z posiołka, co z miasta Kołpaczew, skąd mniej sprawdzano. A do miasta tego udawał się Adolf byle był jakiś pretekst, nawet symulując chorobę, bo tam mógł dokonać zakupów niezbędnych materiałów. Ale niełatwa była sprawa zrobienia odbitek bez prądu elektrycznego. Papier był więc naświetlany w specjalnym urządzeniu. Zasada jego działania była prosta: na krótko należało odsłonić otwór, przez który sączyło się… światło słoneczne. Taka klasyczna camera obscura! Jak wykazują zdjęcia – wyniki okazały się dobre, wręcz fenomenalne: bez względu na niemal półwiecze od tamtych czasów, zdjęcia nie pożółkły. Utrwaliły najcięższe

fragmenty życia rodziny Dargiewiczów, innych ludzi, którzy już nie żyją, jak również tych, czyje losy pozostają nieznane.

A przecież nie tylko nie wolno było robić zdjęć, ale też żadnych rysunków, zapisek! Jedno z takich zdjęć z podpisem „Pamiątka z Sybiru" otrzymała i rodzina Mieczkowskich.

– Pamiętam, jak na początku posielenija – opowiada Tadeusz, – kiedy jeszcze ojca nam „nie dowieziono" i w Tomsku oczekiwał na wiosnę, żeby wraz z innymi dotrzeć do nas drogą wodną, napisałem mu list z prośbą, żeby kupił mi grzebień ze względu na wszy. Ile miałem przykrości, gdy list trafił do naczalstwa! Potem miejscowi radzili, żeby o ważnych rzeczach w listach nie pisać, bo grzebień, to już „sprawa polityczna". Jeśli coś prosić o przysłanie, to najlepiej dustu[25], który działał bardzo skutecznie na miejscowe insekty.

Przeglądam po raz któryś zdjęcia, zrobione w dalekiej Syberii, i nie mogę ukryć podziwu dla tej pasji Adolfa Dargiewicza, zamieszkałego obecnie z rodziną w Białymstoku. Z fotografii na nas patrzą pieresielency, ubrani grubo w nędzne łachmany, cień niepewnego uśmiechu błąka się na ich smutnych twarzach. Zdjęcia ukazują różne strony życia na Syberii, ludzi przy pracy. Dopełniają one kronikę syberyjskiego szlaku nie tylko rodziny Dargiewiczów, lecz wielu, którym wypadło razem żyć i dzielić trudny los.

Ferdynand Ruszczyc, „Obłok”, 1902, olej na płótnie, 110 x 80 cm, wł. Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Życie w tajdze

Choć los wypadł ciężki, to nie można było nie podziwiać majestatycznego i surowego piękna otaczającej przyrody. Mieszkańcy z naszych stron po syberyjskiej gehennie potem raczej nie spotykali tak dorodnych i olbrzymich drzew, które tu umierały stojąc, przeżywszy kilkaset lat. Dwa razy do roku – wiosną i jesienią – przechodziły bardzo groźne burze, które dokonywały naturalnej selekcji w tym dziewiczym lesie: padały drzewa stare i chore. Prócz cedrów rosły tu pichty, brzozy, osiki.

W sklepie w posiołku można było kupić orzeszki cedrowe, z których wypiekano kiedrożi – chrupowate placki o smaku oleju drzewnego. Był to przysmak, do którego się przyzwyczajało z konieczności. W dodatku nie pozostawała sucha patelnia.

Jak się mawiało – tajga karmiła. Rosły czarne jagody, żurawiny. Tylko trzeba było uważać, żeby nie zabłądzić. Jednego razu, we wrześniu – wspomina Tadeusz – znaleziono po kilku dniach poszukiwań ciała zamarzniętych na śmierć zbieraczek żurawin – Polki, Rymszewicz, i Ukrainki. Pochowano je razem na miejscowym cmentarzu.

W tajdze rosło coś w rodzaju krzyżówki – między maliną a truskawką. Były to jagody z niskich krzaków, podobne do jeżyny, o słodko-kwaśnym smaku. Dopiero pod koniec zesłania Tadeusz odkrył w wąwozach zarośla dzikiej porzeczki. Jagody dostarczały niezbędnych organizmowi witamin. Gdyby był cukier, można by przygotować niezliczone zapasy konfitur. W tamtych miejscowościach natomiast zupełnie nie było grzybów – ze względu na duże zabagnienie terenu.

Ziemi mogłeś wziąć, ile tylko chciałeś. Nie był to teren wiecznej zmarźliny i dlatego rosły tu ziemniaki. Sadzono je przy pomocy łopat. Ziemniaki były bardzo smaczne. Może dlatego, że zawsze ich brakowało. Problem był też z ich przechowaniem – mróz trzymał od września aż do maja.

Przy wybitnie kontynentalnym klimacie nie notowano dużych wahań temperatur i lato było bardzo upalne – przyroda jakby chciała nadrobić czas śpiączki w chłodzie, więc cykle wegetacyjne odbywały się bardzo intensywnie. Ale była inna zmora – komary. Noszono specjalne siatki i grube ubrania. Żeby wydoić krowy, rozpalano ogniska, same zwierzęta były mniej narażone, ze względu na długą sierść. Ta rasa bydła była przystosowana do warunków tu panujących. Czasem bydło wyruszało do… tajgi i zazwyczaj powracało, po tygodniu lub dwóch. Krowy były prawdziwą podporą tutejszego życia – nie tylko dawały mleko, można było zaprzęgnąć je do sań, by – na przykład – zwozić siano. Byków, jak też koni, spiecpieresieleńcom trzymać było nie położeno[26].

Kopalin użytecznych w tamtych okolicach nie było. W ziemi natrafiano na warstwy jakichś skorupiaków. Spotykano też jakiś minerał, wielkości grochu. Nie było żadnych skał i kamieni.

– Przyroda dla nie przygotowanych stawała się wrogiem. Żeby przeżyć, musieliśmy tak się dostosować, aby stała się naszym sojusznikiem – stwierdza mój rozmówca, a potem opowiada o świece fauny tamtych stron.

Jakże on bogaty! Spotykało się niedźwiedzi, łosi, rysi. Miejscowi Rosjanie urządzali polowania, innym nie wydano zezwolenia na posiadania broni. Przymusowi osadnicy, żeby wyżywić się,

zastawiali sidła. Trafiały do nich przeważnie zające. Przed śmiercią wydawały tak żałosne głosy, że szkoda było tych zwierząt.

Niektórzy odżywiali się mięsem łosi. Z ich skóry robili podwijacze do szerokich nart, ze względu na bardzo puszysły śnieg. Na takich nartach dość wygodnie było przemieszczać się po zaspach – hamowało się pod sierść skóry.

Było jeszcze bardzo pocieszne zwierzątko w paski, które zapamiętał Tadeusz – morenduk. Pojawiał się na wiosnę. Gdy się potrafiło odpowiednio zagwizdać, zwierzątka podchodziły bardzo blisko, ale wystarczył najmniejszy nieostrożny ruch, żeby błyskawicznie umknęły. Wilków tu nie było.

W tajdze nie brakowało ptactwa. Były cietrzewie i głuszce, które z zachodem słońca chowały się do śniegu. Rano wylatywały z dużym łopotem skrzydeł ze swoich kryjówek. Spotykało się też dzięcioły. Zimą zabijały się one niekiedy na śmierć, gdy trafiały w lodowate drzewo… Zwierzęta – wydawało się – tak świetnie przygotowane do tych warunków, też czasem nie oszczędzał surowy klimat.

No, i jeszcze nie można zapomnieć o rybach. Tadeusz nigdy nie był zapalonym rybakiem, ale na Syberii nie mógł przejść obojętnie, kiedy zobaczył, jak ryby dosłownie wyskakują z wody,

by połykać motyle, wyglądem przypominające nasze kapuśniaki. Ryby miały kolor srebrny i czerwone piórka, a nazywały się chyba krasnopiórki, czy jakoś tak podobnie. Jak one brały! Wyskakiwały ponad powierzchnię wody, byle tylko dać złapać się! Tadeusz przynosił całe ich wiadra i wtedy to była uczta. Tylko do rzeki nie było tak blisko – chyba ze cztery kilometry. Ale się opłacało, bo w rzece można było wykąpać się, choć woda była pioruńsko zimna. Prawda, ryby w postaci suszonej dostarczali nie tyle rybacy co kłusownicy, których w tych stronach nie brakowało.

– Nie należeliśmy do myśliwych, ani rybaków, to warunki zmuszały do tego, żeby jakoś przeżyć – podsumował Tadeusz.

druga część ukaże się w poniedziałek, 6 lutego.